

Prawdziwe oblicze Dubaju

PODRÓŻE | Jeszcze do lat 70. XX w. był to skrawek pustyni zamieszany przez Beduinów i pasterzy. Dzisiaj to metropolia.

JACEK PAŁKIEWICZ

Godzina piąta rano. Ekskluzywny terminal numer 3 międzynarodowego lotniska w Dubaju. Łagodne elipsy i półkola, kolorowe szklane ściany, łuki zadaszeń przypominające zastygłe w starcie skrzydła potężnego ptaka. Wszystko to oświetlone miękkim białym lub błękitnym światłem, czyste, zadbane, chronione przez dyskretnie rozlokowane kamery. Już o tej porze lotnisko tętni życiem. Szybko mieszamy się z charakterystycznym dla Bliskiego Wschodu tłumem. Wśród Egipcjan i Jordanińczyków, obowiązkowo z idealnie przystrzyżonymi, zadbanymi brodami, hinduscy komiwojażerowie w jaskrawych koszulach w kratkę i brytyjskie małżeństwa emerytów w bermudach. Ci ostatni siadają na miękkich kanapach elektrycznych wózków, które z cichym szumem uwożą ich w stronę wyjścia. – Nie tędy – rzucam ukradkiem do Lindy i odciągamy ją na środek holu pokrytego białymi błyszczącymi płytkami. Blisko ściany bowiem pędzi prosto na nas pięćdziesięciosobowa chyba wycieczka Japończyków. Nie oni jedni zresztą stanowią żywą bombę – jak okiem sięgnąć, roją się sfory turystów pod flagami różnych biur podróży. (...)

Bez pośpiechu, choć z wyraźnym celem, lotnisko przemaszerowują wszelkiej maści dubajscy notabla w tradycyjnych białych, rzadziej kremowych czy szarych diszdaszach – długich, sięgających ziemi strojach. Obok nas przechodzi wysoki, może czterdziestoletni jegomość z solidnym brzuchem. Podąża bezszelestnie w sobie znanym celu, nie ogląda się, choć dwa metry za nim kroczą jego cztery małżonki w czerni. Dla postronnego obserwatora różnią się jedynie wzrostem – cztery czarne postacie bez twarzy i kształtów, niczym wdowy w żałobie. (...)

Natykamy się i na Polaków. Para młodych ludzi – on krótko ostrzyżony, barczysty, ona



drobniutka, blond – wydaje się zagubiona i usiłuje wśród tysięcy zaświecanych się informacji odnaleźć tę najważniejszą: gdzie odbiorą swoje bagaże? Przegapili tłum współpasażerów pędzący po walizki i teraz miny mają takie, jakby ktoś porzucił ich w środku amazońskiej selwy. – To lotnisko jest chyba większe od całego Olsztyna! – denerwuje się kobieta, trzymając pod rękę partnera, jedyny znany i budzący zaufanie element w tym obcym świecie. Ale on nie stanowi w tej chwili żadnej ostoi. Rzuca na boki ukradkowe, nerwowe spojrzenia. Jakim nie pomóc? – Cześć, młodzieży – zagaduję i ruszam w stronę taśm, po których jadą już nasze bagaże. – Jesteście z Warmii? Chodźcie, już jadą walizki. Mężczyzna z ulgą podąża za mną. Nie musi się przyznawać, że czuł się zagubiony. Honor uratowany. – Tak, z Olsztyna – odpowiada. – Chcieliśmy w końcu zaliczyć wakacje, podczas których deszcz nie będzie nam cały czas utrudniał życia. – To doskonale wybraliście – słyszę za sobą dystyngowany damski głos. Może sześćdziesięcioletnia eleganka pani uśmiecha się do nas, trzymając pod rękę wyższego od siebie mężczyznę o krótkich siwych włosach i przystrzyżo-

nej w szpic bródce. Milczący pan wolną ręką popycha bez trudu lotniskowy wózek z dwiema solidnymi walizkami. Nie odzywa się, ograniczając się jedynie do złożenia symbolicznego ukłonu. (...)

Wydostanie się z lotniska jest jak przeskok do nowego świata. Innego miasta. Pozostajemy jednak w konwencji blichtru i przesyconej luksusem gry komputerowej. Dubaj robi wrażenie. Jeszcze do wczesnych lat 70. był to zapomniany przez Allaha miniaturowy skrawek pustyni, zamieszany przez kilkadziesiąt tysięcy Beduinów, rybaków, pasterzy i polawiaczy pereł. A teraz to metropolia. Wsiadając do taksówki i jadąc przez to morze kolorów, labirynt drapaczy chmur i piekło zgiełku, mam wrażenie, że znalazłem się w galerii sztuki współczesnej, zawieszony pomiędzy estetyką i transgresją, dziełem sztuki i nadętością, prowokacją i proroczą wizją. I nie ukrywam, że w jakimś sensie galeria ta mnie urzeka – mnie, weterana podróży do zakątków nieobjętych cywilizacją. Z lotniska do starannie wybranego hotelu wiedzie nas tętniąca życiem dwunastopasmowa miejska autostrada

Sheikh Zayed Road – ulica Szejka Zaida. To główna arteria Dubaju, właśnie wzdłuż niej powstało miasto. Ruch o tej porze jest już duży, ale bardzo płynny. Prawdziwe nieszczęście dotyka kierowców dopiero w godzinach szczytu. Przejeżdżamy przez gigantyczne, kilkupiętrowe skrzyżowanie, tunel, wiadukty, potem obok ogromnego drapacza chmur Dubai World Trade Center. Uwagę przykuwają podobne do otwieraczy butelek bliźniacze Emirates Towers, potem apartamentowce, biurowce, hotele: Millennium Plaza Hotel, Ritz-Carlton, Sofi tel i wreszcie przyprawiający o zawrót głowy superwieżowiec Burdż Chalifa – 829 metrów stali, szkła i betonu. Kształt tego zjawiskowego budynku, przy którym pozostałe drapacze chmur jawią się jako kurduple, inspirowany liśćmi hymenocallis, lokalnego kwiatu współczesnej, zawieszony pomiędzy estetyką i transgresją, dziełem sztuki i nadętością, prowokacją i proroczą wizją. I nie ukrywam, że w jakimś sensie galeria ta mnie urzeka – mnie, weterana podróży do zakątków nieobjętych cywilizacją. Z lotniska do starannie wybranego hotelu wiedzie nas tętniąca życiem dwunastopasmowa miejska autostrada

Po obiedzie, w porze sjeisty, która zwykle mężczyźni przymusowemu bezruchem, na chwilę zagłębiam się w lekturze i wynotowuję sobie jeszcze kilka cytatów. „Nasz kraj może jest i mały, ale nasz naród jest wyjątkowy i wyczyny, których dokonaliśmy, są niesamowite”. Tak, to mi pasuje. Podobnie jak jeszcze jeden, bardzo mi bliski: „Największym ryzykiem jest niepodjęcie ryzyka. Podjąć ryzyko i nie podołać, to nie jest porażka. Prawdziwe bankructwo to obawa przed



Jacek Pałkiewicz
**DUBAJ.
PRAWDZIWE OBLICZE**
Wyd. Zyski i S-ka

podjęciem ryzyka”. Wieczorem także Linda sięga po książkę szejka, a potem rozmawiamy o tym wizjonerze. Wiem już sporo – w ciągu kilku godzin można zebrać naprawdę spory materiał. – Powinieneś się z nim spotkać – mówi Linda. – Zartujesz... – Chcesz powiedzieć, że wierzysz w słowo „niemożliwe”? Jedyną moją odpowiedzią jest uśmiech. – No dobrze, tymczasem opowiedz mi o nim – prosi moja elegancka żona, zajmując miejsce na wygodnej kolorowej kanapie.

– Z przyjemnością. – Sięgam po notatki. Opowiadając, porządkuję je sobie w głowie. – Muhammad ibn Raszid al-Maktum jest premierem i dziedzicznym księciem Dubaju. Majątek tego urodzonego w 1949 roku władcy wyceniany jest na 16 miliardów dolarów. To ma oczywiste znaczenie, ale chyba nie wystarczy, aby wytłumaczyć nieprzerwaną wspinaczkę na szczyty autorytetu. Nikt nie ma wątpliwości, że to lider o niebywałych zdolnościach wizjonerskich, którego charyzma pozwala na kandydowanie z urzędu na przywódcę nie tylko emiratów, ale i całego bliskowschodniego regionu.

– Mocno udziela się w polityce? – Małomówny i pryncypialny Muhammad zawsze chciał iść w ślady ojca i już jako dwudziestolatek został komendantem głównym policji Dubaju, a dwa lata później ministrem obrony ZEA. Ale kiedy w 1990 roku zmarł szejka Raszid, to nie on zajął jego miejsce, ale jego starszy brat Maktum. W 2006 roku, po jego niespodziewanej śmierci, Muhammad został głową państwa. Zaraz po przejęciu władzy rozpoczął generalną reorganizację rządu, wielu skorumpowanych urzędników zastąpił nowymi ludźmi. Gdy powołano go na urząd wiceprezydenta i premiera ZEA, zrobił porządek także z biurokratami federacji. W porozumieniu z prezydentem szejkiem Chalifą wymienił część rządu, wprowadzając ludzi bardziej rzutkich, i wdrożył nowe zasady pracy. Nowo mianowany minister edukacji miał podnieść kulejący do tej pory sektor nauczania, a minister zdrowia – podwyższyć standardy opieki zdrowotnej. Wreszcie rodzinom z wyższych sfer, otaczających się tabunem służby, polecił pozbyć się części personelu, niań, kucharzy, masażyści, służących, szoferów, lekarzy, ogrodników, osobistych trenerów. Ponadto zobligował wszystkich ministrów do wykazania maksymalnej inicjatywy oraz opracowania strategii mającej na celu poprawę jakości i dyscypliny pracy. Zapewnił, że osobiście będzie sprawdzać ich poczynania. Zapowiedział, że zachowają swoją pozycję, pod warunkiem że w ciągu roku wejdą na wyższy światowych rankingów konkurencyjności, przejrzystości i skuteczności. – To tak, jakby urodził się do rządzenia – zauważa Linda.

– Tak. Szejka charakteryzuje niepojęty duch przedsiębiorczości. Jest obecny na otwarciu kolejnych obiektów, które można określić jako „naj”. Dubaj ma oślniewać i przyciągać uwagę świata. Niby to nic dziwnego, bo każda metropolia stara się jakoś wyróżnić, ale władze emiratu nie znają umiaru. Nieważne są koszty, istotne tylko, by było mega, największe, najnowsze, najszybsze, najdroższe, wyjątkowe i żeby zaraz pisali o tym w gazetach. Władca wyróżnia się niebagatelną komunikatywnością, sprytnie flirtuje z mediami, podekscytowanymi opowieściami o niesamowitych projektach. Zaprasza dziennikarzy, gości ich jak prominentów, licząc na przychylne nagłówki. Ten happening trwa nieprzerwanie, gra mająca nieustannie zachwycać, pozwalająca ciągle być w świetle jupiterów, ma przekazać wieść, że to Dubaj stał się nowym eldorado, a nie sąsiadnie Abu Zabi. Zapewne z tego samego powodu szejka pojawia się na forum ekonomicznym w Davos i rozdaje miliony na cele charytatywne. – Sądziś, że to tylko gra? Kupuje sobie popularność?

– Nie siedzę w jego głowie. Ale nawet jeśli to tylko kupowanie publiki, to i tak tysiące biednych i osieroconych na tym korzystają. On również. Dzięki zabiegom marketingowym stworzył nowy Dubaj ze wszystkimi jego ekscesami, przekształcił małe państewko w ikonę urbanistycznego kapitalizmu. ©©

